

DELIRIUM TREMENS
(Z LISTU NIEJAKIEGO E.A.P.
ODNALEZIONE W DN. JEGO ŚMIERCI)

Karolina Byszewska

*Ja byłem dzieckiem i ona — dzieckiem
W tym królestwie nadmorskiej mgły,
Lecz miłości takiej, nad miłość większej,
Zazналиśmy tylko my.*
Edgar Allan Poe, *Annabel Lee*
(przeł. Wiktor Woroszyński)

1.

Właśnie teraz, najchłodniejszą zimową nocą, wybrukowaną uliczką idę tam, dokąd zawsze spacerowaliśmy. Gdzieś w oddali opadające oraz podnoszące się ostrze wahała wybijają właśnie godzinę czwartą nad ranem. Jedno uderzenie równa się od wieków pierwszej godzinie, cztery natomiast – czwartej. Kruk, jakby wiedząc, jakby już mnie rozpoznając, przysiadła na nagiej gałęzi drzewa. Skrzeczy przeraźliwie.

Zza nierównej linii czubków drzew, które zewsząd otaczają wilgotną, odludną aleję, niczym za pociągnięciem pędzla, wyłania się zabarwiony na żółto księżyc. Być może sprawia wrażenie tak kolorowego, ponieważ to ciemnością – otchłanią dnia – najłatwiej jest dostrzec najmniejszy nawet promień światła.

Szkaradna brama, gdzieniegdzie pordzewiała, ustępuje pod naciskiem mej dłoni, otwierając się usłużenie z głośnym, przeraźliwym skrzypnięciem, od którego dreszcz byłby przeszedł po moich plecach, ale i tak drzę już z zimna. Skrajnie wyczerpany idę znaną na pamięć drogą przyprószoną śniegiem, który – tuż po zetknięciu z czarnym *roquelaure* zarzuconym na ramiona byle jak – zamarza. Jakby me własne serce, jego ciągłe pragnienie powrotu do ciebie, było równie zimne jak lód. Jednak czy życie ma znaczenie, to, czy żyję godzinę, dzień, tydzień lub rok, jeżeli tak dotkliwie zachorowałam?

– Panie, miej w opiece moją biedną duszę – mówię oślepiony łzami.

Krzyczę. Osuwam się na zamrożoną śniegiem ziemię, głowę opierając na kamiennym nagrobku, kiedy ty – stałą manierą – kładziesz rękę na moim ramieniu. Dodajesz mi otuchy dokładnie tak samo, jak wiele razy wcześniej, kiedy na drewnianych schodkach werandy patrzyliśmy razem w gwiazdy. Opieraliśmy się

o biały płótek, czasem rozmawiając o wszystkim, a czasem słuchając po prostu skrzeczenia kruka. Już wtedy zdawał się mówić *nigdy więcej*.

– *Au contraire, mon frère* – przedrzeźniałem kruka, wyłącznie po to, by usłyszeć twój perlisty śmiech.

Pamiętasz to?

Pamiętasz czerwcowe poranki? Śmialiśmy się wtedy serafinom prosto w twarz. Trzymałem cię za rękę, dotykałem miękkiej skóry, i obserwowałem tańiec wiatru w twoich włosach. Byłbym tak siedział wiecznie, jednak często wracałaś wcześniej niż ja. Szłaś do pracowni, aby przygotować pergamin oraz pióra; lubiałaś utrzymywać to miejsce, gdzie najczęściej pisałem, w porządku. Siadywałaś obok nawet wtedy, kiedy budziłem się z ideą godną rozwinięcia. Śmiałaś się z mojego trybu życia, mówiłaś, że praca nocą do mnie najbardziej pasuje.

Tak jak wtedy trzymałaś mnie przy życiu, tak samo trzymasz mnie teraz. Czując twoją obecność, myślę o czasie, kiedy się poznaliśmy, a *autos-da-fé* czeka już na mnie...

Poczeka jeszcze chwilę.

2.

Wśród ogółu, jeśli słuchać należy ludzi, czystą, duchową miłość nierozzerwalnie wiąże się z zazdrością. Niegdyś, któregoś kwietniowego wieczora przed wielu, wielu laty, porą tak późną, iż ludzie zaplanowali już zmianę własnego życia na lepsze – poczawszy od następnego poranka oraz wypłakawszy najpierw morze łez w zaciszu własnego więzienia zwanego domem – ciebie po raz pierwszy spotkałem. Śnieg sypał się ocieźale z granatowego nieba, jakby anioły zapłakały, wiedząc, co się wydarzy, i przewidując rychły koniec czegoś tak pięknego. Łzy serafińskie zamarzały, gdzieś po drodze zamieniły się w lód, nim dotarły do ludzkiego wzorku.

Usiadłaś wtedy na głazie obok mnie, tuż nad brzegiem morza, i przekrzykiwałaś wiatr, abym mógł cię usłyszeć. Swoim cichutkim głosem, moja mała żono, komplementowałaś uspokajający szum wody. Mimowolnie dostrzegłaś piękno tam, gdzie widziałem jedynie drogę ucieczki.

Tamtego wieczora, w naszym królestwie nad mórz pianą, księżyc wyłaniał się zza chmur oraz zaraz chował się z powrotem – widocznie onieśmielił się uczuciem kwitnącym prężnie jak dzbanecznik. Mimo to swoimi promieniami oświeślał twoją bladą twarzyczkę, skąpał cię w jasnym świetle, co nadało ci nieziemskiego wyglądu, chociaż w moich oczach i tak już byłaś najpiękniejsza.

Serafiny zazdrościły właśnie tobie, tobie, a nie komuś innemu.

W oddali zielonkawa woda atakowała brzeg tak zaciekle, że na powierzchni tworzyła się nieco jaśniejsza piana, która za każdym razem przywodziła na myśl szmaragdowe oczy mojej matki. Kiedy się do tego przyznałem (bo wtedy, jak i tyle

razy później, doskonale rozpoznałaś mój nastrój), poprosiłaś, abym więcej o niej opowiedział. Chociaż to, co pamiętasz, proszę.

Zawsze unikałem tego tematu, chyba szczególnie wtedy, kiedy pytał o to stryj – ale dopiero później się o tym dowiedział. W tamtym czasie, kiedy poznałaś prześmiewczy ton, ten sam, którym kwestionował każdy z moich wyborów. Pamiętasz tego człowieka, prawda? Przecież w końcu tak wiele razy powtarzałem to samo... Kiwasz teraz głową, widzę to dobrze, a kruczoczarne włosy opadają na twoją porcelanową twarz.

Jednak za każdym razem denerwowałem się tak samo mocno, zwłaszcza wtedy, kiedy czytałem kolejne listy, które adresował swoim pochyłym pismem. Dziwne byłoby, gdybyś kiedykolwiek to zapomniała. Ale wyłącznie Bóg wie, bo to on – pod twoją postacią – jest świadkiem tego, iż wypalało się tysiące świeczek, zanim uspokajałem się na tyle, aby wymyślić odpowiedź.

Ale ponieważ poprosiłaś, tobie opowiedziałem wszystko, co wiedziałem o Elżbiecie. W miarę jak mówiłem, przed oczami widziałem kolejne sceny, świadom, iż pamięć ludzka bywa zwodnicza. Wielokrotnie sprawdziłem już, że jeżeli człowiek ma życzenie o czymś zapomnieć, powinien czym prędzej zapisać to sobie na kartce, dokładnie tak, jak robię to teraz.

Ten list to mój *nepenthes*, ma własna *Lete*.

3.

Niewiele pamiętam. Część wspomnień ulotniła się niczym sen we śnie, jeno tam trwając, a część odebrało mi życie pełne wiecznych smutków, będących źródłem rozpaczliwego oraz niekończącego się nigdy wspominania.

Wciąż pamiętam jednak, jak wyglądała, być może dzięki miniaturowemu obrazowi, którego głównym miejscem ekspozycji było to centralne na kominku, naprzeciwko bujanego fotela, gdzie lubiłem siadać. Tamtego dnia, kiedy dowiedział się, iż malowidło jest ostatnim suwenirem po mojej matce, codziennie odkurzałaś szklaną ramę. Czasem przyglądałem się tobie, wiesz o tym, ale kiedy zaczynałaś śpiewać, wtedy odwracałem się często w kierunku portretu kobiety o lokach wysuwających się spod ciemnego kapelusza.

Może właśnie dlatego, dzięki małej, uwiecznionej podobiznie, jestem przekonany, że pamiętam także, w jaki sposób nachylała się nade mną z błyszczącymi od łez, szmaragdowymi oczami, kiedy płakałem. Męczyła się opieką nad dzieckiem. Jako aktorka – teraz to wiem – odgrywała wszystkie role oprócz tej jednej, samotnej matki, którą dostała w nieodpowiednim momencie. Zbyt wcześnie.

Słuchając, jak grasz, zamykałem oczy i marzyłem o tym, aby przypomnieć sobie brzmienie głosu, który we wspomnieniach coś do mnie mówił. Na pewno był słodki, delikatny jak twój, Wirginio, kiedy mi śpiewała. Jeżeli śpiewać lubiła, wolę

jednak myśleć, iż była taką kobietą jak twoja matka – pełną miłości oraz życzliwości, której chętnie byłbym poznał nawet najgłębsze zakamarki duszy.

Ale wtedy, kiedy upadła na podłogę zanosząc się kaszlem, widziałem swoją matkę ostatni raz. Pluła krwią. Na policzki wspięły się jej niezdrowe rumieńce, a czoło zlało się zimnym potem. Cieszę się jednak, iż wtedy uwolniłaś się od cierpienia – dzięki temu zawsze będę kochał cię tak samo mocno. Wciąż będziesz ze mną, nawet jeśli wyłącznie dzięki podobiznie twojej twarzy, którą widziałem parokrotnie.

Minęło już wiele lat, tak wiele nocy już nastało oraz się przejaśniło, ale i tak nie potrafię się z tobą pożegnać. Trzymam więc na kominku to, co przypomina mi o tobie, wiecznie uśmiechniętej i radosnej.

4.

Opowieść o kobiecie ze szmaragdowymi oczami oraz o lokach, które skrywała pod czarnym kapeluszem, pochylając się nade mną z wymuszonym uśmiechem, tobą wstrząsnęła. Cieszyłaś się życiem do momentu, w którym dowiedziałas się prawdy o tym, jak okrutne oraz nieprzewidywalne potrafi być.

Słuchając, jak próbowałem walczyć z tym nieprzychylnym, niezadowolającym i niewdzięcznym życiem, czułaś mój ból jak swój własny. W podobny sposób, teraz to wiem, jak i mnie ścisnęło się serce, kiedy narzekałaś na coraz mocniejszy ucisk w piersiach. Czyż niesamowite nie jest to jak dwa nieszczęścia, pozornie do siebie niepodobne, mogą mieć ze sobą wiele wspólnego? A jednak są indywidualne, niepowtarzalne, tak inne od tego, co sami znamy.

Praktycznie za każdym razem, kiedy opowiadałem o kolejnych wydarzeniach z mojego życia, reagowałaś tak samo – łzami. Być może właśnie dlatego tak często kłamałem, tłumacząc się przed sobą, jak głupiec, miast powiedzieć całą prawdę. Wolałem oszczędzić ci bólu, zapłacić własnym nieszczęściem za twój spokój, niż patrzeć jak cierpisz. Bo, uważam, i tak smutku doznałaś pod dostatkiem.

Jeden raz wyznałem ci wszystko, nawet to, co niekoniecznie miałem prawo pamiętać, a co zapamiętałem jakby wbrew odwiecznym prawom świata – bo człowiek zawsze powraca do tego, co już raz go zламаło. Tamtego dnia nad morzem, w królestwie piany, gdzie już na zawsze pozostawiliśmy część naszych dusz, jako jedyna poznałaś historię mego przekłętego życia. Dopiero wtedy zrozumiałem, iż coś, co wydarzyło się w dalekiej przeszłości, już do końca życia może sprawiać człowiekowi ból. Ale jedynie od niego zależy czy obarczy tym innych, czy oszczędzi im cierpienia.

A ja? Wystarczająco dużo razy widziałem, jak przeżywasz łyzy ciężkie jak wieko trumny, bo nie możesz znieść niesprawiedliwości świata. Widziałem to, kiedy odwracałaś wzrok, aby ukryć smutek. Wtedy obwiniłaś o to bryzę, powiedziałaś, że

to przez wiatr. I może byłbym skłonny w to uwierzyć, gdyby nie fakt, iż zaczęłaś pociągać swoim malutkim noskiem.

Pomyślałem sobie wtedy, pamiętam to jak dziś, iż żaden człowiek – czy to żyjący, czy to ten, który pożegnał się już z tym światem – nie dorównuje tobie urodą.

4.

Chcąc już wtedy dzielić ze mną ciężar życia, odpowiedzialność za wprowadzanie melancholijnego tonu do każdej z naszych następnych rozmów aż do końca świata, odpowiedziałaś mi o swojej rodzinie. O tym, jak piętno śmierci prześladowe cię od narodzin, od momentu, kiedy otrzymałaś imię po zmarłej dziesięć dni wcześniej siostrze – Wirginii Elżbiecie – a potem wspomniałaś również o babce, o sparaliżowanej Elżbiecie, na której część nazwano was obie.

– Chcę być tak szczęśliwa, jak to tylko możliwe – zakończyłaś opowieść tak samo cichym tonem, tak samo jak wtedy, kiedy pod osłoną nocy wyznaliśmy sobie miłość po raz pierwszy.

Od momentu, kiedy to usłyszałem, zastanawiałem się często, czy nieprzychylne życie ofiarowało ci chociaż namiastkę szczęścia. Jednak patrząc na ciebie na przestrzeni tych lat, które razem spędziliśmy, jestem pewien, iż byłaś u mego boku zadowolona, kochana, najdroższa memu sercu, Wirginio. Twoje zadowolenie, małenka żono, od zawsze stanowiło nagrodę większą niż publikacja kolejnego tekstu. Byłbym oddał poezję, wydarł twe życie z rąk najgorszego boga, aby spędzić z tobą jeszcze parę chwil szczęścia.

5.

Od tamtego momentu, od tego kwietniowego wieczora przed wielu laty, wspólnie zaczęliśmy spacerować. Swoimi dłońmi zawsze przyglądałaś me włosy, tymi króciutkimi paluszkami, i to było jedyne, co widziałaś. Chyba byłaś nieświadoma tego, iż wiatr rozsypywał w jedynie sobie znanym ładzie również twoje kruczoczarne kosmyki, a skórę tuż nad policzkami barwił ci na czerwono. Jakbyś się czegoś wstydzila, a twoje bystre, nieprzeniknione oczy skrywały tajemnicę, której nie mógł poznać nikt oprócz ciebie.

Bardzo marzyłaś. Dlatego zawsze ściągałem z siebie płaszcz, ten, który został mi po służbie wojskowej, aby okryć twoje ramiona. Momentami nadal czuję twój zapach, kwiatowy, fiołkowy, kiedy nachylając się nad tobą, całowałem cię w czoło. Dokładnie przykrywałem twoje wychudzone ciało kawałkiem podartego materiału, a ludzie patrzyli na nas krzywo, opowiadając między sobą coś, co nazywałaś plotkami języków tysiąca. Czułaś ich nienawistne spojrzenia? Zastanawiałem się często,

czy gdybym cię zostawił, to czy byłabyś w lepszym środowisku? Czy oszczędziłoby ci to bólu? Jednak my istnieliśmy wtedy jakby poza grzechem świata.

6.

Ślub zawarliśmy w tajemnicy niedługo potem. Poza twoją matką, Marią, towarzyszył nam jedynie ksiądz, którego – za namową pani Clemm – wspólnie zwiedliśmy na ścieżkę nieprawości. Tamtego zimowego popołudnia, kiedy Maria uwierzyła nareszcie w nasze uczucia, ślubowaliśmy sobie miłość nad miłość większą. Wieczne połączenie dusz w uczuciu i chorobie. Wieczne, w uroku twym, któremu od tego czasu dedykować mogłem całe swe życie.

– Li tylko miłość drogę nam wyznacza – powiedziałaś podczas podpisywania aktu ślubu.

Ozdobiłaś pergamin swoim okrągłym, prześlicznym pismem młodości, którego każdą najmniejszą linię potrafię odtworzyć nawet dziś, nawet teraz i nawet zmarniętymi palcami, które zaciskam na śniegu.

W kościele, tam, gdzie tak bardzo lubiałaś chodzić, ponieważ budynek graniczył z gęstym lasem pełnym zielonych drzew nawet zimą, wreszcie cię poślubiłem; wtedy również sypał śnieg. Jednak pomimo całej naszej miłości, całego uczucia, którego – jestem pewien – do dziś zazdroszczą nam nawet anioły, zima i tak ciągle nas prześladowała. Czym sobie na to zasłużyliśmy?

Mimo to, dzięki tobie coś, co wydawało się końcem świata, okazało się być jedynie niewielką przeszkodą na wspólnej drodze naszego życia. Dlatego wtedy, kiedy zaoferowano mi pracę w innym mieście jako asystent redaktora, co – jak powtarzałem – jest o krok od bycia profesjonalnym pisarzem, zajęcia, o którym od zawsze marzyłem – ty wszystko zostawiłaś w imię naszej miłości.

Spakowałaś jedną, małą walizeczkę do której zmieściłaś cały swój dobytek, i pojechałaś ze mną w nieznane.

7.

Chyba wędrówka źle na ciebie wpłynęła. Być może to kwestia zmiany środowiska, a może trudów tak długiej podróży, jednak obwinałem się za każdą kroplę potu, którą zobaczyłem na twoim gładkim czole. Oznaki tego zmęczenia widywałem najczęściej, kiedy śpiewałaś, akompaniując sobie przygrywaniem na pianinie, które wspólną decyzją umieściliśmy w niewielkim salonie. Kupiłem instrument bez okazji – z tobą każdy dzień był świętem, radością dusz, której dawałem wyraz tak, jak potrafiłem najbardziej. Ludzie mnie z tego powodu krytykowali, twierdzili, iż jestem mężem tak marnym jak słabym jestem literatem, co często kończyło się awanturami. Ale, kochana Wirginio, akceptowałaś to. Jak nikt inny rozumiałaś, iż próbowałem

znaleźć w szerokim świecie miejsce, gdzie byłem inaczej traktowany, niż Pan mnie traktował.

Jednak z każdą kroplą krwi, a tamtego dnia naliczyłem się ich aż czterdzieści dziewięć, czułem jakby to me własne serce krwawiło. Jakby nagle stało się morską pianą – tak łatwą do zniszczenia. Tak zbędną.

Ponieważ jednak już wiele lat wcześniej stałaś się częścią mego serca, ból, który z tobą wtedy dzieliłem, wydał mi się możliwy. Chyba tamtego wieczora zacząłem pić więcej niż powinienem przy twoich suchotach.

Potem straciłem posadę asystenta redaktora.

Z tamtych czasów pamiętam jednak, iż kiedy byłaś zbyt zmęczona, aby odpowiedzieć na list od swojej matki, robiłem to z tobą. Dyktowałaś to, co chciałaś Marii powiedzieć, podczas gdy ja przelewałem to w słowa kreślone na pergaminie. Niewiele zmieniałem, bardzo lubiłem bowiem to, w jaki sposób budowałaś zdania. Jak nadawałaś im rytm. Melodię. Sens. Życie.

Kiedy pisałem, siadałaś przy mnie dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy tworzyłem coraz to brutalniejsze historie w miesiącach świetności mej weny. Przyglądałaś się, jak to robię.

– Edenu spokojem jesteśmy otuleni – mówiłaś wtedy powoli, jakby ważąc każde słowo, aby w ten sposób przekonać się, czy oby na pewno się nadaje do tematów, o których pisałem.

Starłaś się naśladować styl moich wierszy, moich narracji, które celowo czyniłem tak niewiarygodnymi. Jednak różnica pomiędzy nami, pomiędzy tobą, kochana Wirginio, a mną, od wieków jest taka, że potrafiłaś dostrzegać piękno świata. Według mnie natomiast jedynym kolorem, którego miejsce bytu jest właśnie tutaj, jest czerń.

8.

– Chcę być tak szczęśliwa, jak to tylko możliwe – podyktowałaś niemalże szeptem – i uszczęśliwiać Edgara.

Zmęczona odpoczywałaś już na swoim łóżu, kiedy przed wysłaniem przepisywałem list, ponieważ poprzednią kartkę zmoczyłem łzą. Wątpię, czy kiedykolwiek się tego dowiedziałaś, a nawet jeśli – milczałaś.

9.

Ale i tak wciąż więcej myślałaś o mnie, zamiast przejmować się sobą lub swoją chorobą. Ciągłe zapraszałaś również drogą mi przyjaciółkę z czasów dziecięcych, z lat samotności, myśląc, że to ona ma tak zbawienny wpływ na uzależnienie, pod

którego wpływem się znalazłem. Byłaś pewna, wiem to, iż to jedynie przy pannie Franciszce z niechęcią spoglądałem na alkohol.

Jednak, tak naprawdę, robiłem to wyłącznie z twojego, maleńka żono, powodu. To ból w twoich oczach, którym przyglądałem się, kiedy pomagałaś mi dostać się do łóżka, szarpał nadwrażliwe struny mej duszy. Skutecznie niweczył we mnie chęć do ciągłego upewniania się czy jestem takim samym łajdakiem nawet na dnie butelki, czy może chociaż tam jawię się jako twój bohater. Tam, gdzie wszystko wygląda inaczej, lepiej.

Chciałem z tym skończyć.

Ale następnego dnia o wszystkim zapomniałem, a kiedy wracałem z tawern – zaiste pomagałaś mi znów. Jednak właśnie w ten sposób od nowa oddałem się w szpony alkoholu oraz hazardu, szczególnie kiedy odszedłem z redakcji.

Nie pamiętam, jak się tam dostałem, ale kolejnego ranka obudziłem się w środku nocy na ławce w parku w czyichś ubraniach. Napadnięto mnie oraz okradziono, zabrano pieniądze, za które zamierzałem kupić chociaż jeden kwiat, białą lilię, abys jeszcze raz rozświetliła swe anielskie oblicze. Już od dłuższego czasu nie mogłaś zajmować się ogrodem kwiatowym, o który do tej pory tak bardzo dbałaś.

Obsypał mnie śnieg.

Powinienem być z tobą.

10.

Powinienem być z tobą tak, jak byłem każdego następnego wieczora. Siedziałem w pokoiku, do którego – jak poprosiłaś – wstawiliśmy pojedyncze łóże. Ze względu na chorobę, przez częsty kaszel, wołałaś spać w innym miejscu niż ja. Umeblowaliśmy to pomieszczenie dzięki zbiorce ogłoszonej na łamach magazynu przez Nataniela, człowieka, o którego przyjaźni już dawno zapomniałem.

W pokoju pachnącym wilgocią, gdzie od tego momentu spałaś, zmęczona kaszlem oraz chorobą, postawiliśmy niezbyt wygodne łóżko, małe, okrągły stolik oraz krzesło, które zabraliśmy od stołu w salonie. Wystrój kłócił się z tym, o czym myślałem oraz co powinienem był ci zapewnić, ale ponieważ właśnie tego chciałaś – złapałem cię za rękę. Kroczyłem z tobą.

Umieraliśmy praktycznie z głodu, a jeżeli ktoś ze Związku Literatów ofiarowywał nam jedzenie – oddawałem tobie taką część, jaką byłaś w stanie zjeść. Błagałem nawet o pieniądze, co jak dobrze wiesz, skończyło się bez wartych wspomnień efektów.

11.

Niechęć do trunków, odezwała się we mnie dopiero wtedy, kiedy całe dnie spędzałaś już na łożu. Trzeźwość umysłu nareszcie zachowywałem, ze strachem nasłuchując twojego oddechu, i patrząc jednocześnie, jak trzęsiesz się z zimna. Ja, dokładnie tak jak robiłem to wiele razy wcześniej, okrywałem cię wtedy swoim płaszczem, tym z czasów służby wojskowej, ponieważ to jedyne, co mi zostało po poprzednim życiu. Wszystko inne albo sprzedałem w najgorszych momentach, a za pieniądze kupiłem brandy, albo spaliłem, by rozgrzać w ten sposób nasz wspólny dom. Wątpię, czy kiedykolwiek ci o tym powiedziałem, ale i tak pewnie domyślałaś się, że do ognia dorzuciłem także niezliczoną część manuskryptów, które w ogromnym nieporządku dopiero czekały na przesłanie do redakcji gazety. Pragnąłem ukarać i życie, i los za to, jak cię traktowałem. Czułem jakbym nie miał prawa się im przyglądać, a co dopiero czytać w druku, skoro tak bardzo cierpiełaś. Jednak uśmiechałaś się z wysiłkiem, chyba wyłącznie po to, aby zobaczyć jak od czasu do czasu się rozpromieniam.

Tak naprawdę w tamtym momencie zapomniałem, czym szczęście jest, a będąc tak młodym, w szaleństwie skąpanym, szybko w melancholii stałem się zakochanym. Gdy jednak się uśmiechałaś, co wtedy widywałem rzadko, cały świat na nowo się rozpromieniał oraz nabierał koloru.

W momentach, kiedy twój stan się pogarszał, kochałem cię jeszcze serdeczniej. Trzymałem się kurczowo właśnie ciebie, ciebie oraz twego życia, jakbyś jedynie ty, Wirginio, chroniła mnie przed upadkiem. Chwytałem się tego z uporem godnym największego szaleńca, najdroższa, jednak w chwilach bólu przepełnionych nadzieją na polepszenie twego stanu, rzeczywiście postradałem rozum. Towarzyszyły temu procesowi okropne momenty świadomości, pozostawiania przy zmysłach oraz realności.

– Nie pozwól upaść swemu sercu, maleńka żono, ponieważ jesteś jedyną zachętą, abym walczył ze światem – mawiałem jednak.

Siedziałem na krześle tuż obok twego łoża, w pokoju, gdzie oprócz tych dwóch mebli zmieścił się jedynie mały stolik, na którym dopalała się właśnie podłużna świeca, pozwalająca mi czytać.

Powtarzałem, prosiłem, abyś ufała, chociaż sam odwagę straciłem wieki temu. Dawałaś siłę, maleńka żono, stałaś się źródłem moich chęci do lepszego życia w chwili, gdy po raz pierwszy usłyszałem twe imię, Wirginio Elżbieto Clemm, najdroższa przyjaciółko oraz maleńka żono.

Jako odpowiedź na monolog, którym raczyłem cię każdego wieczora, przerywany jedynie odczytywaniem swych wierszy szeptem, tak, abyś w każdej chwili ponownie mogła zapaść w sen, poprosiłaś o wizytę swojej matki. Wymogłaś na Marii, jak się później dowiedziałem, obietnicę, aby to ona dopełniła twego obowiązku

oraz stała się moją towarzyszką do końca. Aby i mi była tak dobrą przyjaciółką, jaką była dla ciebie, i kochała mnie chociaż po części jak ty.

Spod poduszki, na której tak wiele spałaś, a która pachniała fiołkami, wyciągnęłaś fotografię, która przedstawiała me ponure oblicze, pocałowałaś swoimi wyschniętymi wargami na pożegnanie oraz oddałaś pod opiekę matce. Maria dotrzymała obietnicy, moja najdroższa, cierpiąc niemiłosierne katusze, kiedy pod osłoną nocy, siedząc na krześle, na którym przy tobie spałem, trzymała mnie za rękę, zanim zasnąłem. Słyszałem jak wzdycha, kiedy otwierałem oczy, prosząc, aby jeszcze chwilę wytrzymała. Jeszcze nie, Mario, jeszcze nie...

12.

W którymś momencie, zamiast patrzeć na twą twarzyczkę, tak drogą oraz bliską przez wszystkie te lata, namiętnie zaczytywałem się w swoich nieudolnych próbach literackich. Wolałem zapamiętać cię taką, jaką poznałem cię tamtego wieczora nad morzem, ze skórą tak bladą, iż nareszcie zrozumiałem, skąd pochodzi określenie „czysta biel”. Jasna, porcelanowa wręcz cera doskonale kontrastowała z kruczoczarnymi włosami, które tak w tobie kochałem, jak i ze lśniącymi i dużymi, czarnymi oczami. Tak, wzrok miałaś niczym hurysa.

Emanowałaś siłą nawet wtedy, kiedy bezsilnie opadałaś na łożo, próbując wstać. Dawałaś o wiele więcej, niż na to zasługiwałem, i jeszcze więcej. Gardziłaś złem nadal, prosząc, abym pogodził się z Hiramem, redaktorem magazynu, do którego żywiłem głęboką urazę. Ale jednocześnie byłaś również niezwykle delikatna. Raczej bezmyślnie oddałbym swoje życie za twoje, w każdym momencie i każdej chwili, wierząc, że jest o wiele więcej warte niż moje.

Wolałem jednak zapamiętać cię właśnie taką, pełną życia oraz uśmiechu, pełną pasji do muzyki oraz uwielbienia do mej sztuki. I nawet teraz, po dwóch latach, które wloką się niczym wieczność, zrobiłbym to samo. Raz jeszcze zdecydowałbym to samo. Gdybym mógł to zrobić, oczywiście. I, przysięgam, gdybym mógł jeszcze raz cieszyć się twoją obecnością... Na pewno lepiej bym to wykorzystał. I uważniej bym się tobą zajmował. Ale to niemożliwe.

Przeszłość ma to do siebie, że kiedy moment nareszcie się skończy, pozostaje poza wpływem człowieka. O tym ciągle zapominam. Ewentualnie się tego nauczę.

13.

Właśnie teraz, najchłodniejszą zimową nocą, siadam tam, skąd zawsze obserwowaliśmy niebo pełne gwiazd. Dzisiaj jest ciemne niczym grafit, chociaż – jak zawsze ostatnimi czasy – sypie śnieg.

Jednak nawet pomimo niepogody, i tak odwiedziś mnie prędzej czy później. Jestem tego pewien. Wielokrotnie już doświadczałem twojej obecności, kwiatowego zapachu, który wyprzedzał cię zawsze o krok. Kocham cię i za to, iż z tak wielkim uwielbieniem się we mnie wpatrywałaś, jak i za to jaka jesteś.

Teraz, czekając na ciebie, przyniosłem ze sobą butelkę brandy, alkoholu, który jest lekarstwem na każdą bolączkę, a jeżeli jest coś, czego wyleczyć nie potrafi – choroba jest niemożliwa do pokonania. Wziąłem trunek tak na wszelki wypadek, gdybyś jednak zapomniała o spotkaniu. Chcę już sięgać po flaszkę, tę do połowy opróżnioną, kiedy na ramieniu czuję twą dłoń. Jak na zawołanie, przestaję się trząść. Ogromny spokój ogarnia me skołatane nerwy, a kruk strąca śnieg z nagiej gałęzi, odlatując gdzieś daleko ponad nasze problemy. Zaraz jednak powraca.

– Pospacerujmy po Edenie – mówisz do mnie.

Chociaż nadal pótleżę na zmarzniętym śniegu, słyszę twój głos jakby tuż obok swojego ucha, tak rozpaczliwie błagającego o to, abyś odezwała się jeszcze jeden raz. Serce me, które zamarzło w piersi już dwa lata wcześniej, jakby nagle od nowa oraz z zupełnie inną siłą zaczęło bić.

– Obejrzyjmy jak pnie się pierzasty wilec – mówisz w odpowiedzi na prośby mego ciała.

Kruk jeszcze raz skrzeczy, zawodząc, ale i tak trudno mi go dostrzec, kiedy nareszcie podnoszę głowę z kamiennego nagrobka, na który upadłem. Stoisz tuż obok mnie, najdroższa Wirginio, patrząc jak układam kolejny zielony kwiat na twoim nagrobku. Ubrana jesteś w letnią biel, w suknię, w której cię poznałem. Czekasz, aż nakryje twe ramiona *roquelaure*, płaszczem o wiele na ciebie za dużym.

– Wspólnie znikamy we mgle. Wspólnie odchodzimy na zawsze, tak, jak być powinno – mówię, patrząc na grób, który mi cię odebrał.

Chcę uderzyć dłonią w kamień, jakbyś dzięki temu mogła powrócić do świata żywych, ale braknie mi tchu na następny krzyk. Jednak, przypominam sobie, nadal jesteś obok. Czy to możliwe? Jeżeli tak, to jakim sposobem? Dlaczego cię odzyskałem? Oraz jakże odnalazłaś mnie w najmroźniejszą zimową noc?

Chociaż czuję, jakbym śnił, proszę, trzymaj mnie blisko, ponieważ jutro może przepaść. Jest to chwila – nasza chwila – utkana ze snów. Opowiedz mi o wszystkim, o latach, które spędziliśmy osobno. Czy słyszałaś pękanie mego serca?

